

ROZDZIAŁ I

Rok wcześniej Planetnik

Wieśniak biegł środkiem osady, wymachując słomianym kapeluszem, trzymanym w ręku. Jego ogorzała od słońca i wiatru twarz przybrała odcień ciemnego szkarłatu i choć ledwo mógł złapać oddech, bezgłośnie wypowiadał te same słowa. Dotarł w końcu do kamiennej cembrowiny studni na środku wioski i łapczywie wypił wodę ze stojącego obok wiadra. Otarłszy usta rękawem brudnej, znoszonej koszuli, krzyknął do ludzi na placu:

— Jest w wiosce Planetnik? Jak jest, to do króla trza go ślać! Ino chyżo!

Jedna z kobiet rzuciwszy kosz z praniem, który niosła znad rzeki, podwinęła spódnice i pospieszyła do bielonej chaty na końcu wioski. Chata wyglądała porządniej niż reszta, jako jedyną zbudowano ją z kamienia i obielono. Planetnik, który w niej mieszkał, mógł sobie pozwolić na wszelkie zbytki. Wieśniacy znosili dla niego dary, płacąc swoim najcenniejszym dobytkiem. Mężczyzna korzystał z tych przywilejów, zapewniając wiosce ochronę przed gradem, ulewami, burzami, powodzią, które niszczyły plony. Wieśniaczka dobiegła i zapukała do drzwi, wołając od progu.

— Planetniku! Król wzywa!

— Mam w dupie króla i jego wzywanie! — odkrzyknął Planetnik i wyszedł z chaty, zataczając się. W ręku wciąż trzymał w połowie opróżnioną butelkę.

— Znów żeś się schlał? — kobieta pokręciła głową.

Starzec, który przyniósł wieści podszedł do pijaka i przyjrzał mu się.

— Mi trza trzeźwego — burknął — macie innego?

Pokręcili głowami. Z chaty jednak wychynął niski, krępy chłopak.

— Ja pójdę z tobą — powiedział.

— Ktoś ty? — podejrzliwie spytał starzec.

— Syn planetnika — odpowiedział.

— A umiesz ty co?

— To gamoń, oferma! Wracaj do domu dzieciaku! — krzyknął planetnik w kierunku syna.

Chłopak się zaczerwienił, ale upierał przy swoim.

— Jak chcesz, to z tobą pójdę. A jak ci nie w smak, to szukaj lepszego. Do następnej wioski, gdzie możesz go znaleźć, są dwa dni drogi, konno...a tu środek żniw i zapowiada się grad. Zboże zbije... — mówił, niedbale zakładając ręce na piersi.

Starzec namyślał się chwilę. W końcu wzruszył ramionami.

— Chodź, zobaczymy czy ci odganianie deszczu idzie równie wprawnie co gadanie.

Chłopak zabrał torbę zielarską i ruszył za starym. Razem wsiedli na wóz i ruszyli. Jechali prędko, tak iż koniom piana leciała z pysków. Dotarli do królewskich włości późnym popołudniem. Stary zostawił chłopaka pod wielką, drewnianą stodołą, gdzie inni mężczyźni uwijali się przy ściąganiu słomy z wozów. Patrzył na nich chwilę, zastanawiając się co teraz. Nagle podszedł do niego rosły mężczyzna, w sile wieku. Miał na sobie skórzane spodnie i mocno pomiętą i zakurzoną białą koszulę.

— Ty jesteś planetnikiem? — spytał go, strzepując słomę z czarnych włosów. Miał wyjątkowo przenikliwe, niebieskie oczy i długi, prosty nos.

— Synem planetnika — wyznał szczerze chłopak — ale uczyłem się od ojca fachu, od dziecka.

— Wygląda, że dalej jesteś dzieckiem — zaśmiał się mężczyzna — czyli za długo się chyba nie uczyłeś? Zresztą przekonamy się, co umiesz.

— Kim jesteś? Zarządzasz włościami? — spytał chłopak śmiało, wrogo nastawiony do tamtego.

— Można tak powiedzieć — odparł i uśmiechnął się — do dzieła! Widzisz te chmury, o tam? — wskazał na niebo, gdzie kłębiły się już granatowe zastępy zwiastunów burzy — Teraz popatrz w tę stronę — pokazał mu ręką łąny złotej pszenicy wśród których poruszali się rytmicznie żniwiarze — kup nam czas — mrugnął do niego mężczyzna i odszedł pomagać reszcie.

Chłopak szybko zabrał się do pracy, powtarzając czynności wyuczone przy ojcu. Rozniecił niewielki ogień na gałązce lipy, owinął wokół niej trochę siana i zasuszonych ziół, tworząc coś na wzór pochodni i ruszył w kierunku ciemnego nieba, licząc kroki. Co dziesięć zatrzymywał się i obracał się wokół własnej osi. Cofał o dwa i z powrotem. Kontynuował, dopóki wiatr nie zmienił kierunku. Potem przysiadł na ziemi i przyłożył ucho do trawy. Wyszepiał dziękczynienie i wstał. Ku swemu zadowoleniu zobaczył, że chmury rozproszyły się pod naporem wiatru, który wzbudził.

Wrócił się w kierunku stodoły. Powoli zapadał wieczór, lecz na pola przyszli kolejni kosiarze, zastępujący wcześniejszych. Kobiety niosły za nimi wielkie lampiony, które rozwiesili na długich tyczkach wbitych w ziemię. Zarządca zdawał sobie sprawę, że burzy nie da się powstrzymać długo, toteż nawet w nocy mieli pracować. Ostatnie dni lata przed porą deszczu zawsze obfitowały w harówkę na polu.

Ludzie ucieszyli się z wiatru i nawet poczęstowali chłopaka piwem. Usiadł z nimi na chwilę i zjadł kolację. Ten sam mężczyzna podszedł do niego.

— Dobrze się spisałeś — rzekł — widać uczyłeś się. W czym chcesz zapłatę? Złoto? Zboże? Mąka?

— Wezmę złoto — odparł chłopak.

Mężczyzna wysupłał niewielką sakiewkę zza pazuchy i podał mu ją. W środku znalazł aż piętnaście złotych monet. Zdziwił się i ucieszył zarazem, bo za taką pracę zazwyczaj dostawało się cztery monety. Zerknął na zarządcę z ukosa.

— Wszystko dla mnie? — spytał podejrzliwie.

— Wszystko — odrzekł tamten.

— Bardzo jesteś szczodry, panie — powiedział i schował zapłatę na dno zielarskiej torby.

— Gdy mi na czymś zależy, wtedy owszem — pokiwał głową mężczyzna.

Nagle zza budynku wynurzył się i podszedł do nich mężczyzna z przepaską na jednym oku. Miał łuk przewieszony przez plecy.

— Panie — mówił szeptem, ale chłopak słyszał każde słowo — Plotki były fałszywe. Zgładziliście wszystkie czarownice. To, o czym mówili ci biedacy, to znachorskie sztuczki. Leczyła rany liśćmi brzozy i śpiewała sobie jakieś pieśni przy tym — łucznik pokręcił głową.

— Trudno — rzekł drugi i uderzył ręką w udo, poirytowany — idź, odpocznij Kay. Jeśli będziesz potrzebny, wezwę cię.

Łucznik skłonił się krótko i odszedł tak pospiesznie i cicho jak się pojawił.

— Wybacz, ale słyszałem waszą rozmowę — rzekł chłopak. Mężczyzna zwrócił na niego wzrok, wyglądał na rozgniewanego — głośno mówiliście — wytłumaczył się — mogę jednak powiedzieć ci z przekonaniem, że nie wszystkie czarownice zginęły.

W oczach mężczyzny pojawiło się żywe zainteresowanie.

— Wiesz coś o tym? Zależy mi, by była to prawdziwa wiedźma, władająca magią... znachorów mam pod dostatkiem.

— Widziałem jej magię — rzekł chłopak obserwując reakcję tamtego. Już wiedział, że ta informacja będzie dużo warta.

— Co chcesz w zamian? — spytał mężczyzna bezpośrednio.

— Poczekam na twoją ofertę. Mówiłeś, że potrafisz być szczodry. Jeśli ci zależy...

Mężczyzna zastanowił się chwilę, nim powiedział:

— Czego najbardziej pragniesz?

Nastąpiło dłuższe milczenie, nim chłopak odrzekł:

— Chciałbym, by moje życie potoczyło się inaczej.

— Jeśli powiem — zaczął tamten, ścisząc głos — że istnieje coś, co może spełnić twoje pragnienie, a ja jestem w stanie ci to ułatwić?

— Jak? — spytał.

Mężczyzna przybliżył się do niego i szeptał na ucho, a w oczach chłopaka rosło zaniepokojenie.

— Jaką mam gwarancję, że dotrzymasz obietnicy, gdy to o czym mówisz się uda? — pytał, nabierając podejrzeń chłopak.

— Masz moje słowo — odparł tamten.

— Słowo byle zarządcy niewiele znaczy.

Mężczyzna włożył rękę pod koszulę i pokazał mu królewski sygnet powieszony na łańcuszku na szyi.

— Czy moje słowo uznasz za gwarant? Słowo Czarnego Króla?

Chłopak cofnął się zaskoczony.

— Jeśli jesteś królem to wybacz, panie, jeśli cię wcześniej uraziłem — rzekł prędko.

Mężczyzna machnął ręką.

— Jak będzie chłopcze? Zgadzasz się? Moje pragnienie za twoje?

— Zgoda — odparł i uściśnął wyciągniętą dłoń — powiem ci, gdzie znajdziesz ostatnią czarownicę... a gdy spełni się o czym mówiłeś, ty dotrzymasz słowa...

Mężczyzna kiwnął głową energicznie.

— Jak masz na imię? — zapytał, gdy po chłopaka podjechał starzec z wozem.

— Jestem Shanje.

ROZDZIAŁ II

Czasy obecne, rok 1139 Pod osłoną nocy, pierwsze spotkanie

*Gdy Ciebie nie znalazłem
Trwałem w swym zamiarze
Że nie da się przejść pustyni
W jej piekielnym skwarze*

*Gdy Ciebie nie znalazłem
Nie wiedziałem jeszcze
Że w ogromnym pragnieniu
Zakrzusić się można powietrzem*

Przechadzała się po łące. W kielichach kwiatów drżała woda pozostała po wieczornym deszczu, w niej odbijało się światło księżyca. Łowiła uchem cykanie świerszczy i brzęczenie świetlików. Czula zapach zroszonej trawy i tchnący orzeźwieniem ciepły, letni wiatr, jak zwykle po burzy. Gdy ziemia łamie się pod naporem grzmiącego nieba, daje mu rozkosz zmycia duszących win i czeka jak cierpliwa kochanka, aż ustanie jego...

—...gwałtowność — ktoś dokończył jej myśli na głos.

Besano odwróciła się, przyjmując łagodne oblicze jak zwykle, gdy spotykała na swej drodze śmiertelnika. Liczni w nią wierzyli, często próbowali łapać ją na łące, przyczajali się, obserwowali uważnie. Rzadko dawała się zaskoczyć, zdziwiło ją więc to spotkanie. Przypadkowy przechodzień na jej łące w Noc Księżycową? Które to noce zdarzały się rzadko, jedyne podczas których, kwitł kwiat Niezgody. Zerwała go wcześniej i mogła wracać do swej chaty, zabawiła jednak dłużej, delektując się powiewem świeżości, gdy ciszę przerwało nadejście nieznajomego.

— To niebezpieczne czytać kobiece myśli. Nie panuje w nich ład, są jak bezkresny labirynt — powiedziała.

— Labirynty słyną z braku porządku, a znalezienie w nich reguły jest związane ze skutecznością nieszczęśnika, który się w nich zabłądzi.

— Wielu owych nieszczęśników już tam poległo — odpowiedziała hardo.

Rozmówca podszedł bliżej. Ukazał się jej wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, w stroju łuczника. Jasna, lniana koszula z długim rękawem opinała tors, ukazując zarys mięśni brzucha i opadając luźno na ciemnozielone spodnie. Przez plecy przewieszony miał łuk i kołczan. Tym, co przyciągnęło jej spojrzenie była twarz. Mogłaby zostać uznana za przystojną...przynajmniej jej prawa strona. Lewą szpeciły blizny po oparzeniu. Oko przepasano czarną opaską, związaną z tyłu głowy.

— Gdyby nikt tam nie poległ, ów labirynt mógłby być niewart prób przejścia. A to zachęcająca perspektywa, by próbować się do niego dostać.

— Ciekawe czy równie trafnie strzelasz z łuku, jak ważysz słowa.

Mężczyzna uśmiechnął się odsłaniając równe, białe zęby, wyglądające dość drapieżnie. Zdeformowana twarz tchnęła grozą. Lecz w zdrowym, zielonym oku iskrzyło się rozbawienie, przeczące całemu grymasowi.

— Mnie zaś ciekawi bardziej, dlaczego piękna nieznajoma spaceruje sama po łące w Noc Księżycową... czyżby spodziewała się znaleźć tutaj coś, co rośnie tylko w tę noc?

Besano uśmiechnęła się.

— Być może...być może i ty nie znalazłeś się tutaj przypadkiem?

— Nic nie dzieje się bez przyczyny — rzekł szybko i chwycił ją w ramiona. Wierzyła, próbując się uwolnić, ale trzymał ją mocno i spętał ręce srebrnym łańcuchem, lekkim, misternym, podejrzewała, że także niezwykle wytrzymałym.

— Więc wiesz już, kim jestem?

— Owszem — odparł lekko zasapany — czarownicą, której szukam od dawna.

— Jesteś Królewskim Łucznikiem — domyśliła się i przeklinała za brak czujności.

— Wygląd temu przeczy, ale tak, jestem.

— Co ze mną zrobisz? — spytała, gdy pociągnął za łańcuszek i zaczął prowadzić ją za sobą.

— Miałem cię tylko pochwycić, co do reszty twojej roli zadecyduje Król.

„Mało pocieszające,” pomyślała. Obecny panujący słynął z surowości. Jego bezwzględne metody dławienia buntów i ekspansywna polityka przyczyniły mu wielu wrogów. Skrytobójcy w zamkowych alkowach podobno roili się jak mrówki, opłacani przez władców sąsiednich krain, oraz ojców porywanych dziewcząt. Król bowiem nie miał żony, ale miał wiele nałożnic, uprowadzanych z wiosek i szlacheckich dworów. Nic dziwnego, że potrzebował Królewskiego Łucznika. Każdy następca tronu miał takiego sługusa. Cichy i skuteczny, nieuchwytny, posłuszny, podlegający tylko jednemu panu, nieprzekupny. Różne słuchy chodziły o Łuczników, Besano jednak do tej pory nie spotkała żadnego. Do tej pory... Spojrzała na plecy mężczyzny idącego przed nią.

— Jak masz na imię? Królewski Łucznik to chyba tytuł, nieprawdaż?

— Jestem Kay — rzucił zza pleców, nie odwracając się.

— Kay... — powtarzała, nagle zaniepokojona — nie może być...

Teraz zrozumiała, jak złośliwy może być los.

Shanje

— Czemu znów to robisz? — spytała cicho niska, niepozornie wyglądająca dziewczyna. Jej krótkie, szare włosy były poszarpane, jakby przycięte przez niezbyt wprawnego fryzjera. Patrzyła z zaciekawieniem na czarnowłosego młodzieńca o podobnej fryzurze, dmuchając na grzywkę opadającą na wysokie czoło.

Obydwoje kucali na szczycie wzgórza w wysokiej trawie, obserwując z bezpiecznej odległości rozgrywającą się na łące u stóp wzniesienia scenę. Królewski Łucznik pętał właśnie czarownicę srebrnym łańcuchem.

— Jesteś tak podobna do mnie, że na pewno to już wiesz — odparł piskliwym głosem, który wcale nie pasował do jego ponurej twarzy.

W tym momencie dziewczyna roześmiała się, podobnie wysokim głosikiem.

— Cii — przyłożył palec do ust — jeszcze usłysz — mruknął do niej.

— Przecież już poszli — odparła i podniosła się z trawy, poprawiając brudną sukienkę — ta kobieta jest piękna. Zazdroszczę jej.

— Dlatego właśnie cię kocham. Jesteś bardziej zazdrosna ode mnie.

I pocałował ją w usta, nie musiał specjalnie się schylać, gdyż byli podobnego wzrostu. Bardziej wyglądali jak rodzeństwo niż jak para kochanków. Lecz miłość to równowaga charakterów, nie urody. A tak się złożyło, że ciężko było spotkać drugą, tak podobną charakterami parę.

— Myślisz, że się uda? — spytała go po chwili, gdy już schodzili ze wzgórza na drugą stronę, do Czarnego Królestwa. Nad nimi górował księżyc w pełni, otaczając mrocznym blaskiem wszelką roślinność. Prócz niego nic nie przebiło się przez ciemną zasłonę chmur.

— Wątpisz we mnie? Czy też w mojego króla? Kochanie... — przerwał, chwycił ją za rękę — on zrobi wszystko, by plan się powiódł. Zawarłem z nim umowę. Podobno znalazł człowieka, który jest w stanie nam pomóc i już rozpoczął swoje zadanie. My mieliśmy tylko wydać czarodziejkę.

Razem pędem puścili się w bieg po trawiastym zboczu, śmiejąc się do rozpuku. Rozstali się przy studni stojącej w sercu drewnianej wioski, na niewielkim placu. Shanje po cichu zakradł się do chaty, w której mieszkał wraz ze swoim ojcem.

— Gdzie się włóczyłeś, gamoni? — rozległ się ponury głos ojca. Siedział na krześle przy zgaszonej świecy w głównej izbie. Shanje od razu poczuł zapach alkoholu.

— Co ci do tego, staruchu? — spytał beczelnie. I tak wiedział, że ojciec nie dopadnie go w tym stanie.

— Ty kundlu! Jak się zwracasz do ojca?! — wrzeszczał i wstał, przewracając krzesło.

Chłopak uskokczył i wpadł do swojej izdebki na końcu sieni. Zabarykadował drzwi i przystawił je komodą. Ojciec był silnym, roslym mężczyzną, ale po pijaku jego siła ulatywała równie szybko co wypite procenty. Shanje położył się na łóżku, czekając, aż ojciec przestanie uderzać w drzwi i wrzeszczeć. W końcu się poddał i sobie poszedł, a chłopak usnął, powtarzając w myślach „wytrzymaj jeszcze trochę”.

Z samego rana poszedł do pracowni na tyłach chaty. Ojciec mruknął pod nosem przywitanie. Jak zwykle nie pamiętał, co wyczyniał wieczorem. I tak było codziennie. Shanje poukładał szklane słoiki wypełnione ziołami i założył skórzaną torbę.

— Dzisiaj weź więcej dziegciu i dziurawca. Pogoda się psuje — rzekł do niego ojciec, zajęty rozgniataniem goździków moździerzem.

Chłopak z ulgą wyszedł z domu. Wioska już ożyła i mijał rolników poganiających swoje krowy na łąki. Jakiś chłopak przebiegł obok niego i dopadł reszty kolegów.

— Zniknęła — powiedział ze smutkiem do nich — ta piękna czarodziejka! Poszedłem za nią przez gaj, a później puf — pstryknął palcami — i zniknęła.

— Jakiś ty głupi — jeden z kolegów trzepnął tamtego w głowę — lepiej pomóż ojcu orać pole. Wszystkie czarodziejki kiedyś znikają. Taki mają zawód — powiedział z wyższością.

Shanje idący za nimi parsknął śmiechem. Odwrócili się naraz do niego, uśmiechając się złośliwie.

— Kogo my tu mamy...— powiedział jeden z nich — syn pŁanetnika. Twój ojciec podobno wrzeszczał wczoraj przez pÓł nocy. Mo¿e niech łyknie tych ziół, które przyrządza...

— Zamknij się — odwarknął Shanje, spuszcZając wzrok.

— Podobno — dodał drugi — pŁanetnik lubi się bawić z dziećmi...z tobą te¿ się bawi, brzydalule?

Shanje zacisnął pięści i odparł.

— Ojciec woli dziwki, więc czasem odwiedza wasze matki, gdy cierpią na ból głowy. Zwłaszcza gdy ich mężowie orzą pole. On używa innego pŁuga.

I puścił się biegiem, nim tamci zrozumieli znaczenie jego słów. Dotarł na łąkę i zbierał zioła powoli, chodząc w miejsca, o których nikt nie wiedział. Znał każde zarośnięcie, nic dziwnego, że szybko wytropił czarodziejkę. To on doniósł na nią do króla. A ten obiecał mu coś, o czym mógł tylko marzyć. I nie chodziło o złoto...ale o drugą szansę.

Droga do zamku

Kay prowadził Besano przez gaje, polany, łąki i pastwiska. Czasem droga prowadziła traktem, czasem przedzierali się przez pola. Przewodnik unikał ludzkich siedzib, lecz nie mógł tego robić w nieskończoność, gdyż po dwóch dniach marszu dotarli do latyfundiów. W ciągu tych dni czarodziejka przyglądała się szerokim plecóm Łuczniaka, ponieważ prawie ciągnął ją za sobą. Opierała się, ale był to daremny trud. Mężczyzna nie odzywał się do niej wcale, ripostował tylko śmiechem jej przekleństw i wrywanie się. Im bliżej siedzib magnatów, tym bardziej zmieniał się krajobraz. Rozrzucone gdzieś gaje i dzikie łąki zostały zastąpione przez wielkie połacie pól uprawnych. Znikł sielski krajobraz pojedynczych gospodarstw i domostw, a w tle zamajaczyły smukłe sylwetki kamiennych dworów i zamków. Łuczniak szedł, przerzucając plecak z ekwipunkiem z jednej strony na drugą, zamiennie z łukiem i kołczanem. Nie zwykł dużo mówić, gdyż rzadko trafiał na odpowiednie sobie towarzystwo. Swoim wyglądem odstraszał ludzi. Przez pełnią służbę postrzegano go jako płatnego mordercę, bezrozumnego psa spełniającego rozkazy. Owszem, służył władcy, ale został przez niego wybrany i zaakceptował wybór. Nikt go do niego nie zmusił. Choć różne słuchy krążyły o władcy, o jego okrucieństwie, porywczosci, to okazał się także dobrym strategiem. Jego pomysłowość wprowadziła kraj w dobrobyt, sztukmistrzowie i wynalazcy, którymi się otaczał, wymyślali coraz to nowe maszyny, usprawniające prócz sztuki wojennej, także przewóz towarów, uprawę roli, budowę traktów i zamków. Kay uważał króla za osobę mądrą i zarazem nieprzewidywalną. Jako Królewski Łuczniak często miał przyjemność z nim przebywać i lubił to towarzystwo. Zlecenie odnalezienia Czarownicy Indarków przyjął z lekkim zdziwieniem, jednakże bez zadawania pytań. Lepiej było nie kłócić się z królem. Oczekiwał on absolutnego posłuszeństwa. Jednak Łuczniak odkładał to zadanie, jak długo mógł. W dodatku, co go zdziwiło, król wiedział gdzie jej szukać, choć to zadaniem Łuczniaka było tropienie. Mimo to ta misja pochłonęła dużo czasu. Szedł za głosem plotek, mówiących o Księżycowych Nocach i kwiecie Niezgody. Jedni mówili o niej z bojaźnią, inni, zwłaszcza mężczyźni, z przejęciem. Nic w tym dziwnego, zerknął z ukosa na kobietę. Można było jej pragnąć, pomyślał. Widział już równie urodziwe jak ona, wysokie, szczupłe, o wysublimowanych kształtach, ni to w stronę przesadnych, ni to niezauważalnych kobiecych krągłościach. Jej czarne, jak bezgwiezdna noc, włosy sięgały do połowy wyprostowanych pleców, kręcąc się przy końcach. Twarz w kształcie serca zdobiły duże rumieńce, wykwitłe od dłuższego wysiłku podczas marszu. Często też marszczyła wysokie czoło, do którego przylepiły się pojedyncze kosmyki. Duże, pełne usta miała rozchylone jak przy lekkim uśmiechu. Tak, widział już takie, powabne i kuszące panie, lecz tym co ją od nich odróżniało były oczy. Duże, szeroko otwarte oczy, w kolorze czekolady. Tyle różności kryło się w nich, radość, obietnica, mądrość, ale też dobro i odrobina szaleństwa zarazem. Przez te oczy właśnie zagadnął ją na łące. Bez wyjątku zawsze po prostu porywał swoje ofiary, bez ceregieli, rozmów. Z nią postąpił inaczej. Pomyślał nagle, że był zapewne jedynym, który widział ją taką. Jednocześnie czuł w niej pewną przebiegłość i okrucieństwo. Czuł, że lepiej jest trzymać się od niej z daleka, choć jednocześnie pociągała go jej dzikość. Cieszył się mimo wszystko, że zdążył splątać jej dłonie łańcuszkiem, nim użyła na nim swych czarów, nie wiadomo bowiem, co też kryło się w tym czekoladowym spojrzeniu. A metal jak wiadomo, obezwładniał wiedźmy.

— Skąd te blizny? — spytała nagle.

Otrząsnął się zaskoczony pytaniem. Szedł w zamyśleniu i dopiero teraz spostrzegł, że szli bez przerwy, a zapadał zmierzch. Znajdowali się między majątkami Yarda i Varda. Dwóch możliwych popleczników i sponsorów króla. Mimo iż byli krewnymi, stali się sobie zaciekłymi wrogami. Trzeba uważać na zasieki, pomyślał. Idąc granicą, miedzą na lekkim pagórku, często natykali się na wnyki i drut kolczasty. Czasem bowiem magnaci urządzali jedni drugim wybiegi, plądrując majątek i pałac ziemię. Kay wybadał ziemię wokół nich, krótkim mieczem rozsiekł kolczaste krzewy, rzucił plecak, łuk i kołczan na ziemię i polecił kobiecie usiąść, mówiąc:

— Tutaj dzisiaj śpimy.

— A moje wcześniejsze pytanie? — ponagliła, przyglądając mu się ciekawie — skąd te blizny?

— Relikt przeszłości — uciął i wyprostował nogi, siedząc wciąż sztywno wyprostowany. Besano podwinęła nogi ku sobie, zamiatając szeroką spódnicą ziemię. Skórzane buty uwierały ją, podobnie jak gorset. Mimo, iż nie nosiła tych ciasnych, staroświeckich gorsetów, po trzech dniach wędrówki i ten stał się nieznośny. Czuła jak koszula klei się do pleców, mokra od potu. Dobrze, że wybrała ciemne kolory stroju, pomyślała, przynajmniej nie widać na nich potu. Źle znosiła taki stan rzeczy. *Móglby mnie prowadzić na tym łańcuchu i miesiąc, byle pozwolił się umyć* — mówiła sobie w myślach.

— Niedaleko płynie potok — powiedział, jakby znów w nich czytając. — Rano będziesz mogła się odświeżyć. Czekają nas jeszcze dwa dni drogi. Przed nami koniec latyfundiów, potem południowy skraj Puszczy Indarka, Równina Ahli Sihir i gdy przejdziemy przez Królewski Trakt, będziemy prawie na miejscu.

— A potem król rozkaże mnie spalić na stosie? — zaśmiała się nerwowo.

Grymas zniekształcił jego twarz.

— Nie sądzę, by wydał mi rozkaz ścigania ostatniej z żyjących czarownic tylko po to, by ostentacyjnie spalić ją na stosie ku uciesze poddanych. Wtedy pewnie kazałby mi po prostu cię zabić.

— Taak...to rzeczywiście pocieszająca perspektywa — odparła, zastanawiając się, dlaczego nazwał ją ostatnią z czarownic. Czyżby nie wiedzieli o Druidce? Ucieszyła ją ta informacja. Może magii uda się przetrwać dla przyszłych pokoleń.

— Jak to robisz? — spytała Łuczniaka — jak czytasz mi w myślach?

Zaśmiał się, wyczuła jednak fałsz w tym śmiechu.

— Do czego to podobne, by czarownica zarzucała mi swoje metody postępowania?

— Chyba nie spotkałeś nas zbyt wiele. Sztuczki, o których mówisz to tylko zabawa, jeśli chcesz poznać wiedzę, przyjrzyj się jej magii. Każda z nas otrzymała dar. Część mocy z pradawnych wierzeń, zrodzonych w sercu ziemi, na styku żywiołów. Magia to potęga i wiedza, która użyta mądrze czyni życie bardziej intensywnym, jak miłosne doznanie, w całkowitym spełnieniu, tak iż dzięki niej jesteś całością. Jest uwodzicielska, porywcza, ale też czyni dobro i potrafi dobru służyć.

— Pierwszy raz słyszę, by ktoś z taką czułością o niej mówił — odparł Kay patrząc na Besano z zainteresowaniem.

Odwzajemniła spojrzenie, karcąc się, że aż tak wiele powiedziała. Rzadko rozmawiała o magii, tym bardziej ze swoimi prześladowcami. Ten mężczyzna budził w niej jednak dziwne uczucia.

— Po prostu wiem, jak języka używać — roześmiał się, ponownie ukazując drapieżne uzębienie. — Nie potrafię czytać w ludzkich umysłach... po prostu czasami wiem, co ktoś chce powiedzieć i kończę jego myśli. To bardziej przeczucie niż umiejętność.

Przestała pytać. Odwróciła się do niego plecami, położyła na boku i zasnęła.

Zaczynało świtać. Królewski Łuczniak poczęstował uprzednio swojego więźnia kromką chleba, plastrem suszonego mięsa i wodą, ruszył naprzód. Przedarli się przez miedzę i poszli w górę strumienia płynącego nieopodal, dotarli do niewielkiej sadzawki.

— Możesz się wykąpać — rzekł do kobiety.

— Przy tobie? — spytała odruchowo.

— Nie zaryzykuję twojej ucieczki, nie rozwiążę cię. Decyduj.

I sam zaczął się rozbierać.

— Zamierzasz kąpać się ze mną? — spytała, podziwiając jego umięśniony tors, z lekkim zarostem. Dopiero w słońcu poranka spostrzegła, że jego brązowa czupryna mieni się rudo w świetle promieni. Patrzyła na niego z pożądaniem. Ale nie mogła sobie pozwolić na zbliżenie się do niego. Nie przez nieśmiałość, ale przez zamię, które wolała ukryć. Zwłaszcza przed mężczyzną, z którym łączyła ją przeszłość, choć on tego nie podejrzewał.

Kiwnął głową i ściągnął spodnie. Zanurzył się w wodzie, szarpiąc wiązający ją łańcuch.

— Może się pospieszysz? Mogłem wziąć dłuższy łańcuch na ciebie, gdybym wiedział, żeś taka wstydliva.

Zaśmiał się i zanurzył głowę. Wynurzył się po chwili, parskając wodą. Besano w gniewie wymyślając mu coraz to brzydsze przydomki, cała czerwona z oburzenia poczekała, aż wyjdzie z wody i się ubierze. Nie mogła nawet wykąpać się przed nim, nie mówiąc już o tym, że on ją zafascynował, choć nie powinna temu ulegać.

— Czyli rezygnujesz z kąpeli? — spytał drwiąco.

Nie odpowiedziała. Udali się w dalszą drogę.

Następnego dnia stanęli u progu królewskiej puszczy. Leśna gęstwina ciągnęła się aż po horyzont, jeśli spojrzeć nań z wierzchołka pagórka, z którego zeszli chwilę wcześniej. Las mienił się zielenią i brązem. Jego północna część obumierała w związku z suszami i robactwem zalęgłym w starych pniach — tak tłumaczono to królowi, czarownica jednak wiedziała, że Puszcza skrywa w sobie wiele więcej ponad to, o czym wiedzieli niczego nieświadomi ludzie. Zachodnia część trzymała się jeszcze soczystej zieleni, ale plaga brązu już wyciągała ku niej swoje zachłanne macki. Puszcza stanowiła najstarszą granicę królestwa oraz figurowała jako element królewskiego sztandaru. Niewielu także wiedziało, że las stanowił także serce ich świata. Powstały w czasach jego kreacji, serce magii, żywiołów, serce dobra i mroku.

Kay i Besano przystanęli przed tym majestatycznym wytworem matki natury, nim postawili pierwszy krok. Dopiero później weszli w cień drzew. Posuwali się powoli naprzód. Mimo iż Słońce górowało w zenicie, ledwo widzieli szlak przed sobą. Gęste korony buków uginały się od liści, stanowiąc skuteczną zasłonę dla promieni, pozostawiając leśne runo w półmroku i zaduchu. Królewski Łucznik po chwili zarządził postój i napił ich wodą z bukłaka. Włosy przylepiły mu się do czoła, czarownica wyglądała podobnie.

— Pójdziemy jeszcze chwilę, póki widać cokolwiek.

Podczas późniejszego postoju, Kay poluźnił więzy Besano i przywiązał ją do jednej z nisko rosnących gałęzi, oboje oparli się o pień, rozciągając wygodnie i oddychając niespokojnie. Duszne powietrze ścisnęło ich płuca. Dookoła zapanowała ciemność. Słyszeli tylko pohukiwanie sowy. Besano poczuła napływ złej energii, która przejmowała jej umysł, podsyłając okropne obrazy. Czarodziejka dawno nie odwiedzała tych terenów. Jej magia pochodziła z tej ziemi, jej przekleństwo. Znów musiała ustąpić pod wpływem zła. Besano ogarnął niepokój, przysunęła się bliżej Łuczniaka. Ten także czuwał, starając się wypatrzeć w mroku czyhające niebezpieczeństwo. Za późno.

Z lewej strony dobiegło ich warczenie. Wilki. Oboje się poderwali i zobaczyli otaczające ich żółte ślepia. Czarownica próbowała wyswobodzić ręce z łańcuszka, pragnęła się bronić, a nie potrafiła inaczej niż magią. Kay pochwycił łuk i kołczan oparte o drzewo tuż obok. W całkowitej ciemności naciągnął strzałę na cięciwę i wymierzył w najbliższego przeciwnika. Ten skoczył, poczuli pęd powietrza, jednak strzała dosięgła go w porę i powaliła u nóg Łuczniaka. Nieoczekiwanie Kay zaczął coś mrużyć pod nosem, wyciągnął rękę przed siebie. Warczenie najpierw się wzmogło, następnie przeszło w skomlenie i jeden z wilków podszedł do wyciągniętej dłoni. Mężczyzna wyszeptał jeszcze coś, czego Besano nie usłyszała i wataha wycofała się tak szybko, jak się pojawiła. Czarownica opadła na poprzednie miejsce. Poczekała, aż krew zacznie krążyć wolniej, a serce wróci do swego rytmu. Łucznik stał jeszcze chwilę, po czym usiadł obok niej, mówiąc:

— Śpij. Jesteśmy bezpieczni.

— Jak to zrobiłeś? — wyszeptała z podziwem — tym razem odpowiedz. Ciężko jest zasnąć obok człowieka, który rozmawia z wilkami lepiej niż z ludźmi.

Milczał chwilę, nim odparł:

— Taki się urodziłem.

— Też się urodziłam... z magią. Ale rozmowa ze zwierzętami to rzadki dar.

Znów umilkł, nim rzekł:

— Moja matka należała do waszego zgromadzenia. Odziedziczyłem co nieco po niej.

Besano słuchała tego obojętnie. Udawała zainteresowanie, mimo że знаła jego historię.

— Te bliźny to piętno, tak? — dopytała cicho.

— Tak. Piętno syna wiedźmy. Kazali mi patrzeć, jak matka płonie na stosie, nim mnie naznaczyli.

Kobieta zamilkła, zastanawiając się co powiedzieć. Zreflektowała się jednak szybko:

— Przykro mi. Nie podejrzewałam, że Królewski Łucznik może...

— ...może być uwikłany w magię? Tak się składa, że nie uświadamiałem króla o moim darze. Zna moje pochodzenie, ale tajemnicę magii zostawiłem sobie.

— Dobrze zrobiłeś. Będąc jednym z nas, skazałbyś się na śmierć lub banicję. Ale... — zastanowiła się chwilę, starannie dobierając słowa — balansujesz na granicy. Tak blisko osoby, która może zetrzeć cię w pył jednym rozkazem. Król ma szpiegów, podglądaczy. Każdy może na ciebie donieść.

Tym razem Kay uśmiechnął się, czego Besano nie mogła dostrzec.

— Właśnie to ryzyko sprawia, że chętniej podejmuję grę. Poza tym nikt na mnie nie doniesie. Wszyscy się mnie boją i wiedzą, że jestem blisko króla.

— Ty wiesz, czego on ode mnie chce?

— Przypuszczam, że tego co zwykle — rzekł z lekkim wahaniem — wojny.

Besano westchnęła, po raz pierwszy żałując, że jej mocą jest sianie niezgody i pomyślała o kwiecie zwiniętym w kieszeni szerokiej spódnicy.

Następnego ranka czekał ich kolejny dzień wędrówki przez puszcze. Besano czuła wibracje mocy sączące się z serca lasu. Czuła energię, magię i mrok. Jej myśli spowiła ciemność. Łańcuch boleśnie wrzynał się w skórę, pałac. Łucznik prowadził ich jednak skrajem, jak obiecał i po południu wyszli już na Równinę Ahli Sibir. Czarownica zażądała odpoczynku. Położyła się na wyschniętej trawie, oddychając płytko. Dopiero gdy odzyskała trzeźwość myśli, wstała i ruszyli dalej. Do wieczora przemierzali step, nim zobaczyli wybrukowaną aleję Królewskiego Traktu prowadzącego do zamku. Przeszli przez niego i znaleźli się na obrzeżach podgrodzia. Minęli już w ciemnościach nocy miejskie domy i zabudowania, aż dotarli do bramy. Kay nie chciał, by ktokolwiek zobaczył, kogo prowadzi. Magia cieszyła się złą sławą, po prostu była tępiona przez poprzednich władców. W dawnych czasach na stosach palono nawet tych, którzy na śmierć nie zasłużyli, ale uznano, że parali się czarami. Tak naprawdę niekiedy zawieszano sąsiada czy nieopatrznie użycie słowa „czary” groziło stosem albo torturami. Nawet znachorki leczące skutecznie ludzi ziołami były oskarżane o szarlatańskie sztuczki i tym samym skazywane na stos. Ciemnota szerzyła się niczym plaga szarańczy.

Kay przeszedł przez kładkę nad fosą, która łączyła podgrodzie z zamkiem właściwym. Fosa okalała podzamcze, w najszerszym jej miejscu poprowadzono most zwodzony, jednak nad wąskimi przesmykami mającymi tylko około kilku kroków średnicy, mieszkańcy podgrodzia zbudowali kładki, by szybciej przedostawać się w obręb podzamcza, w którego rozległych murach odbywały się targi, znajdowały świątynie, a także co jakiś czas organizowano tańce i zabawy. Kay zawsze dziwił się, przechodząc po chybottliwym, drewnianym pomoście, jak łatwo wróg mógłby przedostać się do zamku dzięki tym rozwiązaniom komunikacyjnym praktycznie w samym centrum królestwa. Wspominał o tym nieraz Królowi lecz ten tylko machał ręką i śmiał się, że przecież ma swojego Łucznika, który go ochroni. Mężczyzna poważnie wątpił czy zdołałby w ciemności ustrzelić skrytobójcę.

Nagle łańcuch, który trzymał w ręku, naprężył się, Łucznik odwrócił się czujnie.

— Czemu nie idziesz? — spytał Besano.

— Nie przejdę po tej kładce. Cała się trzęsie...i...mam niewygodne buty.

Kobieta podciągnęła spódnice, ukazując skórzane botki na wysokim podbiciu, ubłocone i popękane. Kay przewrócił okiem.

— Jak ty do licha przeszłaś tyle mil w tych butach? Lepiej chodzić boso.

Besano prychnęła.

— Boso? Po tych łąkach, pastwiskach z porzrucanym obornikiem, lasach i ścieżkach, którymi mnie prowadziłeś? Trzeba było przyjechać powozem, wtedy zdjęłabym buty.

— Skoro tyle przeszłaś, to chyba pokonasz kładkę?

— Nie... — trochę się zarumieniła — jaa...nie lubię mostów.

Kay wybuchnął śmiechem.

— Nie lubisz mostów? — powtórzył — zrobiły ci coś?

— Nie lubię ich i już. Wybierz inną drogę — dodała rozkazująco.

— Wokół zamku jest fosa, musimy przejść przez któryś pomost, a ja wybrałem ten, więc przejdziesz po nim czy chcesz, czy nie.

Szybkim krokiem przeskoczył kładkę z powrotem, przerzucił zaskoczoną czarodziejkę przez ramię i ruszył w stronę śpiącego zamku. Besano początkowo okładała go pięściami po plecach, jednak poddała się po chwili.

Po przejściu kładki zakradli się pod mury zamku. Kay prowadził ją, pociągając za sznurek, by skrócić dzielący ich dystans. Prawie przywierała do jego pleców. Poruszali się ostrożnie, w cieniu, z dala od świateł zawieszonych pochodni. W mroku Besano nie mogła objąć wzrokiem kształtu królewskiej fortecy. Podeszli do wieży wartownika po lewej stronie. Wieże stały po obydwu stronach potężnych wrót. Żelazne kraty były spuszczone w dół, dodatkowo blokując wejście do zamku. Nie zastukali jednak do drzwi wartownika, ale okrążyli wieżę kilkoma krokami i wpadli na mur łączący ją z resztą obwarowania. Królewski Łucznik schylił się i szukał czegoś w trawie. Rozległ się zgrzyt, gdy podciągał żelazną klapę ku górze, ukazując dziurę w ziemi — zejście do tajemnego tunelu. Zeskoczył w dół i znów pociągnął łańcuszek, zmuszając czarodziejkę, by skoczyła za nim. Złapał ją i postawił na ziemi. Besano pomyślała, że przyjemnie było znaleźć się w jego szerokich, silnych ramionach. Szybko pożałowała, że tak krótko ją w nich trzymał, gdy jej buty zanurzyły się w czymś kleistym. Kay szarpnął za wystającą ze ściany dźwignię i kłapa zamknęła się za nimi z hukiem. Od dźwigni poprowadzono cienki łańcuszek. Kay chwycił go.

— Chcesz nas utopić w błocie? — spytała go.

— Żeby to jeszcze było błoto — odparł krzywiąc się i wolną ręką przytknął nos — mówiłem ci, że król jest bardzo pomysłowy. To jest system kanalizacji, który zaprojektował. I nawiasem mówiąc, moje tajemne wejście do zamku.

Besano skrzywiła się, oderwała brudny już rękaw koszuli i obwiązała nim usta i nos.

— Jak na sługę, który jest tak wyjątkowy i oddany, to dostajesz kiepskie uznanie za zasługi. Strach pomyśleć jak wygląda twoja komnata. Śpisz w stajni?

Prychnęła niewesoło. Kay ją wyprzedził i szarpnął za łańcuszek.

— Lepiej się pospiesz, chyba, że chcesz dłużej delektować się zapachem nieczystości.

Szli wydrążonym w ziemi tunelem. Łucznik podązał za łańcuszkiem uczeptionym ściany i ciągnął na drugim spętana czarodziejkę. Szli wyprostowani, gdyż wysokość tunelu to umożliwiała. Smród był okropny. Besano myślała o swoich skórzanych trzewikach i obolałych stopach zanurzonych w fekaliach. Co jakiś czas zbierało się jej na wymioty. Starła się trzymać głowę prosto, bo czuła dolatujący chłodny powiew powietrza z kierunku w którym zmierzali. Po kilku minutach, które zdawały się wiecznością, doszli do metalowej drabinki wbitej w ścianę po lewej stronie. Wspięli się po kilku stopniach, jedno za drugim. Kay podał jej dłoń, gdy wychodziła na podest. Znaleźli się w jasno oświetlonej komnacie. Zeszli z podestu po marmurowych schodkach zostawiając mokre, brudne ślady. Gdy oczy czarodziejki przyzwyczaiły się do światła, zobaczyła całkiem sporą łaźnię. Po prawej stronie stały miednice, pod którymi przebiegały różnego kształtu rurki, zakręcające tu i ówdzie, niczym w labiryncie. Łucznik podszedł do jednej z nich i odkręcił kurek wystający nad jej krawędź. Z zakrzywionej rurki pociekła szerokim strumieniem parująca woda. Na lewo stała ogromna balia, w której spokojnie mogłyby się zmieścić cztery dorosłe osoby. Na środku w kamiennej posadzce wydrążono basen, wypełniony po brzegi. Pomieszczenie było okrągłe i wysokie, dogrzewane dwoma metalowymi piecami, których kominy pięły się w górę i wychodziły przez drewnianą podbitkę sufitu. Zauważyła dwa wąskie okna u samej góry. Tym, co oświetlało komnatę, był wielki żyrandol pełen zapalonych świec, zwisający z sufitu na mosiężnym łańcuchu. Za basenem stał biały parawan i krzesło, na którym złożono w kostkę czyste ubranie. Besano upewniwszy się, że są sami, natychmiast zaczęła ściągać z siebie ubranie, nie dbając już o zachowywanie pozorów przed

mężczyzną. Ten patrzył na nią z rozbawieniem. Rzucił łańcuszek na ziemię i rozebrał się. Kobieta mocowała się ze sznurkiem od gorsetu, na którym zrobił się supeł. Kay podszedł do niej i rozerwał węzeł. Zerknęła na niego przelotnie, zauważając lekki rumieniec na policzkach.

Mężczyzna speszył się nieco i natychmiast odsunął. Podszedł do jednej z bali, splukał z najgorszego brudu, a potem wskoczył do basenu, rozpryskując wodę. Besano zanurzyła się z przyjemnością w ogromnej balii po czubek głowy. Łańcuszek na ręce trochę utrudniał kąpiel, ale cieszyła się błogim ciepłem. Znalazła mydło nieopodal i wyszorowała się. Kay wynurzył się z wody, prychając. Zaczął się wycierać przygotowanym lnianym ręcznikiem. Kobieta obserwowała go otwarcie, podziwiając jego ciało. Poczula, że znów chciałaby znaleźć się w jego ramionach. Szybko wyrwał ją jednak z zamyślenia, przekładając czystą koszulę przez głowę.

— Odpocznij i umyj się porządnie — uśmiechnął się do niej. Zdjął opaskę z twarzy, więc teraz widziała jego drugie oko, ślepe, bielone. Od jego zewnętrznego kącika biegła blizna szpecąca policzek. Dopiero teraz dostrzegła drobny zarost wyhodowany podczas ich wędrówki. Przydawał mu męskości i czynił jego twarz bardziej surową, ale też przystojniejszą. Próbowала się skupić nad jego słowami. — Zamknę cię tutaj. I tak nie uciekniesz, bo jesteśmy we wschodniej części zamku, gdzie nikt nie zagląda. Wejście zarygłowałem. A z łańcuszkiem na ręce twoje czary są bezużyteczne. Zresztą z tym chyba będzie wygodniej — podszedł do swoich brudnych ubrań i wyszperał z kieszeni szeroką, srebrną bransoletę, po czym ściągnął z jej ręki łańcuszek i zamienił go na nią. Besano przyjrzała się nowej ozdobie. Bransoleta miała wytłoczony wzór, łuczника z wycelowanym, naciągniętym łukiem. Z drugiej strony znajdował się zatrzask z dziwną kombinacją drobnych, misternych pręcików, wyglądających jak zamek bez klucza.

— Jest piękna — powiedziała szczerze.

Odchrząknął.

— Pójdę powiadomić króla o naszym powrocie.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, kobieta otrząsnęła się zirytowana swoimi myślami. Teraz powinna skupić się na tym co król z nią zrobi. Wiedziała, że stawianie oporu władcy na nic się zda. Słyszac opinie o królu, mogła podejrzewać, że zgodnie ze słowami Łuczника, będzie chciał wojny.

A dla niej, najważniejsze było jej przetrwanie. I była gotowa na wszystko, by ocalić własną skórę.